

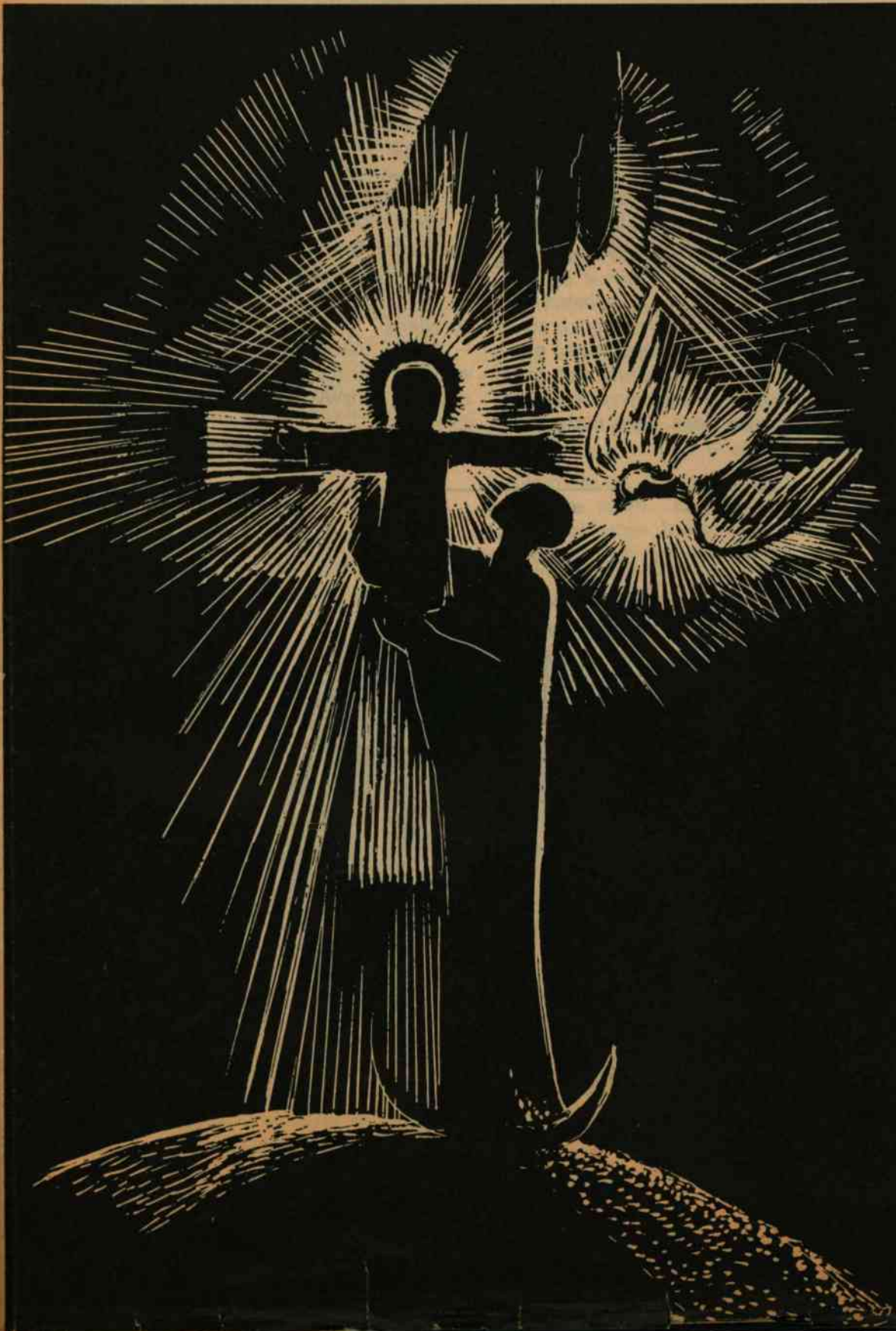
GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK WYCHODŹSTWA

51/52 (863/864)

BOŻE NARODZENIE, 18-25 grudnia 1977

ROK XIX



BETHLEHEM

Na granicy czasu,
Którą określił Bóg
Dojrzewaniem owocu
W niewieścim ciele,
Urzędnicy pochyleni nad papirusami
Liczyli lud jak wory zboża.

Marya siedziała na włochatym ośle,
A zwierzę stąpało tak ostrożnie,
Jakby dźwigało na grzbiecie
Nie kobietę,
Ale modlitwę.

Obok szedł Józef
Jak kolumna rzucająca cień,
Spokojny i świadomy
Anielskiej treści,
Którą wypełniona była
Po brzegi swojego istnienia
Małżonka o twarzy zakrytej zasłoną.
Niebo, pod którym szli, było jak chleb.
Ziemia pod ich stopami, była jak chleb.
I dom, do którego szli, był jak chleb.

Gdy wstąpili w jaskinę,
W werseł Micheasza,
Marya powiła Syna
I położyła Go delikatnie na sianie
Jak kruche szkło.

Pasterze o szerokich barach,
Narzuciwszy na siebie wełniane burnusy,
A na głowy kolorowe chusty,
Weszli do jaskini jak dzwony.

Mędrcy stali pokornie jak dostojne
księgi,

W których opisane są dzieje
Ludzi dobrej woli.

Krowa, wół i osioł
Pochyliły się nad żłóbkiem
Jak trzy doliny.

A potem
Dzwony, księgi i doliny
Uklęły.

Roman BRANDSTAETTER

Bóg z nami

Myśl, że Bóg stanie się człowiekiem, równym każdemu, była dla Izraelczyków nie do przyjęcia.

Przepowiednie Proroków były wyraźne. Nad ludem izraelskim zawsze ciążyła idea wszechmocnego Jahwe, Pana wszechrzeczy, Odwiecznego i Świętego. Nie tłumaczono ludowi myśli i zamiarów Odwiecznego. I tak Izrael nie zauważył, kiedy nadeszła „pełnia czasu”. Tym bardziej, że kiedy nadeszła, wszystko było tak bardzo zwyczajne, proste i codzienne.

Nikt nie poznał Tej, która w przeczystym, dziewiczym łonie nosiła Boga Człowieka.

Ewangelista Łukasz pisze o dekreście cesarza Augusta. Zapowiadał on powszechny spis ludności. Każdy miał zapisać się w swoim mieście. Poszedł więc Józef z Galilei, z miasta Nazaret, wraz ze swoją małżonką Maryją, która była brzemienna, do miasta Dawidowego Betlejem. Miasteczko było zatłoczone ponad miarę z powodu spisu. Między ludźmi nie było miejsca dla nich. Ktoś jednak zlitował się nad Maryją i Józefem. Zaprowadził ich do grotty. Tam „nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” — zanotował Łukasz.

Nad pasterzami pojawiła się jasność. Więc „bardzo się przestraszyli”. Uspokaja ich posłaniec Boży. Ogłasza wielką radość z narodzin Mesjasza Bożego. Niebo również rozbrzmiewa radością. A radość ta ma udzielać się całej ziemi:

„Chwała Bogu na wysokościach,
a na ziemi pokój
ludziom Jego upodobania”.

Wspólna narada pasterzy i decyzja: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co się tam stało i o czym nam Pan oznajmił”. Zobaczyli... Widok nie bardzo zachwycający: grotta-stajnia, a w niej „Maryja, Józef i Niemowlę leżące w żłobie”. W ubóstwie, nędzy i poniżeniu pasterze dostrzegli bogactwo chwały i majestatu Boga. Serca pasterzy przepełniło uwielbienie. W pokornym hołdzie zgięli kolana. W Dziecinie adorują wszechmocnego Boga. Odeszli pełni radości. Poszli w życie, w swoje obowiązki. Rozpowiadali innym o tym wydarzeniu. „A

wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali”.

Było się czemu dziwić... Bo oto Wszechmocny i Nieśmiertelny jest wśród nas w słabości Dziecka. Ta nowa rzeczywistość przerastała ludzką wyobraźnię. Odtąd z nami i na naszych drogach będzie kroczył Bóg-Człowiek. Przyszedł dzielić dolę i niedolę człowieka. Nadał im nowy sens na miarę miłości Boga.

Po cichej, błogosławionej nocy nadeszła inna noc. Noc grozy i ucieczki. Groza nad trójgiem ubogich ludzi. Również nad matkami miasteczka.

— „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę — głos do Józefa przemówił — i uchodź do Egiptu” (Mt 2, 13). Posłuszny Józef tak zrobił. Ciężki i gorzki chleb wygnania i poniewierki...

Trzeba było czekać na odezwanie się Głosu. „Józefie, wracaj, bo już nie żyją ci, którzy na Dziecko czyhali”. Wrócił i osiedlił się w Nazarecie. By spełniło się co powiedzieli prorocy: „Nazwany będzie Nazarejczykiem”.

Potem zabłąkanie się i odnalezienie w świątyni. Tam był potrzebny, gdzie chodziło o sprawę Jego Ojca. Na to przecież przyszedł, aby ludziom dać przykład jak mają się zachowywać kiedy chodzi o sprawę Boga, Ojca wszystkich ludzi.

Nasz Emmánuel — Bóg z nami! — jest zadziwiający. Czasem dziwi czasem niepokoi. Zaskakuje i pozostawia nas naszej nieporadności. Potem przychodzi, aby doradzić, pocieszyć i podnieść na duchu. Zauważył to dobrze siedemnastowieczny zakonnik, o. Caussade:

„W wydarzeniach ukazuje się nam Pan Jezus jakby w przebraniu; niektórzy nie umieją Go rozpoznać, ale inni okazują Mu tym więcej względów, im to przebranie jest nędzniejsze”.

A Gerard Bessière tak to ujął:

„Bóg zaciera się nam czasem w oczach, bo nie chce, byśmy zasiadali do odpoczynku. Jezus jest jednocześnie prawdą i drogą; Boga nie można znaleźć, jak tylko idąc ścieżkami Wielkiej Wędrowni. Nasz Bóg jest Bogiem przeszłości, nigdy nie będziemy mogli przestać iść w ślad za Nim. I zawsze będzie nam się zdawało, że Go jeszcze nie znamy... podobnie jak nie jesteśmy w stanie poznać do końca najbardziej ukochanej twarzy”.

Przy Bogu trzeba wciąż trwać z uwagą. Trzeba, by Duch Jezusa porwał nas ku Niemu. Emmanuela — Boga z nami — trzeba ustawicznie szukać, odnajdować i rozpoznawać. Rozpoznawać po znakach nadzwyczajnej miłości Boga i człowieka.

Roman Duda, omi

DROGIM
RODAKOM
WSPÓLPRACOWNIKOM
I CZYTELNIKOM
SERDECZNE
ŻYCZENIA
Z OKAZJI
ŚWIĄT
BOŻEGO
NARODZENIA
I NOWEGO
ROKU
SKŁADA
„GŁOS KATOLICKI”



Ewangelia

4 NIEDZIELA ADWENTU, Mt 1, 18-20 (Rok A) — 18 grudnia 1977

Z narodzeniem Jezusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, z Józefem, wpieryw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego. Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem prawym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał opuścić Ją potajemnie. Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: „Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów”. A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: Oto Dziewica pocnie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy „Bóg z nami”. Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie.

NARODZENIE PANSKIE, Łk 2, 15-20

Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczmy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił”. Udali się też z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie. Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dziecięciu. A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali. Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu. A pasterze wrócili, wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jak im to było powiedziane.



ŚWIĘTO ŚW. SZCZEPANA,
pierwszego męczennika,
26 grudnia

Naucz nas bohaterstwa, św. Szczepanie, tego największego, na jakie może się zdobyć człowiek. Chyba łatwiej ci było dyskutować z rabinami o bóstwie Chrystusa, niż potem w chwili okrutnej śmierci modlić się za twoich prześladowców. Bóg żąda od swoich wyznawców olbrzymiego wysiłku duchowego. Muszą oni nieraz zerwać wiele więzów uczuciowych, a tak trudno pogodzić się z faktem odejścia od bliskich czy z porzuceniem jakiejś społeczności. Tobie też nie było łatwo wystąpić przeciwko tym, których podziwiałeś jako mądrych, może byłeś nawet ich uczniem albo, co gorsza, krewnym niektórych z nich. Może patrzyli na ciebie jak na szaleńca lub bluźniercę. W takich chwilach ludzie nie przebierają w środkach dla udowodnienia swoich racji. Wiele razy powtarzał się w historii twój dramat, św. Szczepanie. Wiemy, jak trudno wszystko przebaczyć — nawet w imię Chrystusa. Naucz nas rozumienia innych i przebaczenia, młody diakonie ukamienowany pod Jerozolimą.

Janina Hertz



K A L E N D A R Z

18 grudnia, św. Gracjana

Miał być pierwszym biskupem Tours, wysłanym do Galii z sześcioma towarzyszami przez papieża Fabiana (236—250). Młodą owczarnią Chrystusową w Tours rządzić miał przez pięćdziesiąt lat. Miał umrzeć śmiercią naturalną i został pochowany na cmentarzu chrześcijańskim swego biskupiego miasta. Czczony był zawsze 18 grudnia.

21 grudnia, św. Piotra Kanizjusza

Urodził się w Gelrii (obecnie Holandia) w 1521 r. Studiował w Kolonii i wstąpił do zakonu Jezuitów. Po święceniach kapłańskich pracował w Niemczech. Wydał wiele dzieł, zwłaszcza znany „Katechizm”. Umarł we Fryburgu w 1597 r.

29 grudnia, św. Tomasza Becket

Urodził się w Londynie w 1118 r. Był kanclerzem królewskim, a w 1162 r. został biskupem. Ponieważ bronił praw Kościoła przeciw królowi Henrykowi II został wygnany do Francji. Po powrocie do ojczyzny jest prześladowany, a w końcu zostaje zabity z polecenia króla w roku 1170.

31 grudnia, św. Sylwestra

Od roku 314 był biskupem Kościoła Rzymskiego. Umarł w 335 r. i został pochowany na cmentarzu Pryscylly przy drodze Salaryjskiej.

W królestwie nędzy

„Śmieciarka wśród śmieciarzy” — tak zatytułowała swą książkę-pamiętnik, książkę-autobiografię Siostra Emmanuela, francusko-belgijska zakonnica, która żyje i pracuje wśród mieszkańców podkairskich slumsów. „Jestem z nimi od siedmiu już lat, mówi S. Emmanuela, i są to lata szczęśliwe, najpiękniejsze lata w moim życiu”.

Chcielibyśmy przytoczyć wrażenia reportera „France Catholique Ecclesia”, który odwiedził ostatnio S. Emmanuela w jej „królestwie nędzy”.

„Baraki tej olbrzymiej dzielnicy nędzy zbudowane są na wzgórzu, usypanym ze śmieci. Uliczki, pełne gnijących odpadków, cuchną. Gromady dzieci brodzą wśród tych nieczystości razem z osłami, świniami, psami, szczurami i muchami. Dalej leżą, zwalone na stos, resztki padłych zwierząt. To widok, do którego nie można się przyzwyczaić. A jednak żyje tu 3 tys. osób. Liczba ta, mimo licznych narodzin, zmniejsza się powoli. Przyczyna? Tragicznie prosta: Połowa nowo narodzonych tu dzieci umiera...”

Codziennie o świcie dziesiątki wózków, zaprzężonych w osły i kierowanych przez dzieci, opuszczają slumsy Azbet el Nakhl. Przez cały dzień odbywa się zbieranie śmieci na ulicach Kairu. Wieczorem rozpoczyna się sortowanie: butelki, szmaty, makulatura pójdą na sprzedaż, resztkami żywności karmi się świnie, choć niektórymi nie gardzą i dzieci...”

Czy można się dziwić, że zstąpiwszy z ciekawości i na krótko — na samo dno ludzkiej egzystencji, wstrząśnięty francuski dziennikarz zapytał Siostrę Emmanuellę: „Jakże Siostra mogła związać swój los z losem tych śmieciarzy? Czy naprawdę można się przyzwyczaić do takiego życia? Do robactwa? Do szczurów? Cóż Siostra może uczynić dla tych ludzi?”

„To proste — odpowiada z uśmiechem zakonnica. — Serce mi pękało na widok tej niezmierzonej nędzy, byłam oburzona widokiem takich różnic w życiu bogatych i biednych, wstrząśnięta bezmiarem cierpień jednych i obojętności drugich. A ponieważ nie wierzę w litość lecz w siłę miłości, pomyślałam, że należałoby uczynić coś, a może nawet żyć z tymi, których zwykle się omija, bo są brudni, okryci robactwem, bo cuchną i brakuje im wszystkiego. Niestety, nie-

OD REDAKCJI

ROK 1978 — ROKIEM ZMIAN

Każdy Nowy Rok zmusza nas do zastanowienia, do spojrzenia w przeszłość i przyszłość...

Nie jesteśmy upoważnieni do sięgania w zbyt daleką przeszłość organu Polskiej Misji Katolickiej we Francji — tygodnika „Głos Katolicki” — choćby do roku 1960, gdy Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej przejęli trud redagowania i druku tego pisma. Bliższy jest dla nas rok 1972, gdy w numerze 40, z dnia 1 października pisaliśmy o zmianach w wydawnictwie „Niepokalana” w La Ferté sous Jouarre, o tym, że dyrektorem wydawnictwa został mianowany ks. Edward Szymeczko OMI, od roku 1969 redaktor „Niepokalanej”, że redaktorem „Głosu Katolickiego” jest ks. mgr Leon Brzezina OMI, a w zespole pracuje nieoceniony misjonarz ks. Roman Duda OMI i ks. Jan Nieruchalski OMI, długoletni i niezmordowany administrator wydawnictwa...

Z wdzięcznością wspominamy słowo Rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji, ks. prał. Z. S. Bernackiego, skierowane do nas i naszych Czytelników: „Wszystkich nie zadowolicie, drodzy Księża Redaktorzy... Ale wy głosicie, powtarzam Prawdę z całą odwagą. Wykładnikiem Przedwiecznej Prawdy jest Kościół św., nikt inny. Niech was otacza swą opieką Boża Rodzicielka”...

Nikt jednak nie był w stanie przewidzieć wciąż pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, drożyzny, zaostrzeń różnych przepisów administracyjnych, które sprawiły, że w końcu Misjonarze Oblaci MN są zmuszeni do zamknięcia drukarni w La Ferté sous Jouarre. Decyzją Rady Prowincjalnej Internat św. Kazimierza w Vaudricourt został przemieniony na Instytut Maryjny św. Kazimierza, na siedzibę miesięcznika „Niepokalana” i ośrodek nowej działalności misjonarsko-duszpasterskiej. Przełożonym Instytutu został mianowany ks. mgr Leon Brzezina OMI, a redaktorem miesięcznika „Niepokalana” pozostaje ks. Edward Szymeczko OMI.

Tygodnik „Głos Katolicki” z dniem 1 stycznia 1978 r. przekazujemy właścicielowi — Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

Dotychczasowemu zespołowi redakcyjnemu nie pozostaje nic innego jak złożyć płynące z serca podziękowanie naszym Współpracownikom i Przyjaciółom, wszystkim Czytelnikom, którzy nie szczędzili dobrego słowa otuchy i pomocy.

Zapewniamy, że pozostaniemy nadal w serdecznej łączności z „Głosem Katolickim” i jego Przyjaciółmi. Będziemy gotowi zawsze do współpracy z nowym ks. Redaktorem i jego pomocnikami!

Rok 1978 — Rokiem zmian! Ale nie zmieni się jedno: nasze misjonarskie pragnienie służenia Polskiej Emigracji — w Prawdzie Bożej i miłości — pod opieką Matki Niepokalanej!

wiele uczyniłam dotąd, by realnie zmienić ich życie. Ale cieszę się. Po południu uczę czytania i pisania dzieci, dziewczęta szyją, chłopcy majsterkują. Otworzyłam też małe ambulatorium, w którym codziennie kogoś opatruję — chodzenie po śmieciach sprzyja skaleczeniom. Udało mi się nawet sprawić, że raz w tygodniu przyjmuje w naszym ambulatorium lekarką.

Czego moi podopieczni pragną najbardziej? Wydaje mi się, że przede wszystkim tego, by kochać ich, starać się

zatrzeć w nich odczucie własnej nieużyteczności, odrzucenia, niepożądania. Tylko zamieszkując pośród nich i z nimi mogłam pozyskać ich ufność”.

Tak, zwyczajnie i po prostu, objaśnia swe powołanie S. Emmanuela w rozmowie z dziennikarzem. Im jednak, swoim podopiecznym, sąsiadom i przyjaciołom ze slumsów pod Kairem S. Emmanuela nie musi niczego objaśniać. Dla nich jest ona od dawna Ableti — „dużą siostrą”. kimś, kto po prostu jest razem.

I.B.

W czasie Ostatniej Wieczerzy Chrystus Pan ogłosił Nowe Przymierze. To nie miałyby sensu, gdyby nie przewidywał tych, którzy by z niego korzystali. Otóż, Chrystus najpierw zapowiedział, kto będzie korzystał z Nowego Przymierza, gdy powiedział do Piotra, że na nim jako na fundamencie zbuduje Kościół swój. Później zaś polecił im budować ten Kościół, gdy w wieczerniku kazał im składać Najświętszą Ofiarę „na Jego pamiątkę”, jak również gdy kazał im głosić Ewangelię wszystkim narodom oraz udzielać chrztu św. tym, którzy w Niego uwierzą (Mt 28, 19 ns.).

Kościół więc nie powstał z wymysłu Apostołów czy późniejszych chrześcijan, ale z wyraźnej woli Chrystusa. Jednak, koniecznie trzeba się zastanowić nad tym, jaka treść się kryje w słowie Kościół. Oczywiście nie będzie tu mowy o wszystkim, co o Kościele można by powiedzieć, a tylko o tym co należy do toku naszego rozważania.

Słowo **Kościół** w świeckim języku greckim oznaczało zwykłe zebranie ludu. Jednak w pojęciu chrześcijańskim od pierwszej chwili słowo to nabrało religijnego znaczenia. Określało ono zgromadzenie ludu o charakterze religijnym. A to dlatego, że słowo greckie **ekklesia** odpowiadało hebrajskiemu „kahal”, czyli **lud zgromadzony na nabożeństwie, względnie dla oddania czci Bogu**. Treść słowa „kahal” w przybliżeniu wyrażają obecnie francuskie wyrażenia: „rassemblement dominical”, „rassemblement eucharistique”. Czyli Lud zgromadzony w Dniu Pańskim (niedziela), względnie Lud zgromadzony dokoła Eucharystii.

Niestety trzeba powiedzieć, że obecnie słowo **Kościół** nie budzi w nas tych samych pojęć i tej samej treści, jak to miało miejsce u pierwszych chrześcijan, czy w pismach Nowego Testamentu. Słowo **Kościół** określało przede wszystkim wspólnotę wierzących, którzy przyjęli chrzest, gdyż przez Apostołów poznali Chrystusa oraz Jego naukę i uwierzyli w Niego: którzy jednoczyli się dokoła Eucharystii, stanowili „jedno”, tzn. byli wspólnotą miłości, o jaką Chrystus się modlił w czasie Ostatniej Wieczerzy (Dz 4, 32 ns.).

W naszym rozumieniu, słowo **Kościół** już nie budzi tych samych pojęć,

ani tej samej treści. Zaciążyła na niej zewnętrzna postać Kościoła, ukazujące się oczom jako **organizacja**. Nie zominajmy, że Kościół jest rzeczywistością religijną. A tę rzeczywistość tylko wiarą pojąć można. Natomiast gdzie wiara zamiera, czy słabnie, tam zostaje tylko to, co oczom widoczne i co rozumowi dostępne.

Z tą chwilą więc, gdy wiara słabnie, albo też dla tych, którzy w ogóle nie wierzą, względnie nigdy nie poznali Chrystusa, Kościół ukazuje się tylko jako to, co oczom jest dostępne i rozumowi. A więc jego zewnętrzne formy organizacyjne i działalność doczesna, mająca co najwyżej znaczenie czysto humanistyczne. Obecnie więc dla wielu ludzi, nawet dla wierzących, Kościół to papież z całą swoją administracją i urzędami, biskupi oraz księża i wreszcie wszyscy inni wierni, na których patrzymy jako na zwykłych członków organizacji. Gdy w ten sposób patrzymy na Kościół, nic dziwnego, że będziemy w nim widzieli tylko to, co ludzkie, ze wszystkimi niedoskonałościami i słabościami, które nie zawsze są budujące, a często nawet są okazją do zgorzienia. Przy takim pojęciu jesteśmy ogromnie daleko od Kościoła w znaczeniu Ludu Wybranego Nowego Przymierza.

Dla lepszego zrozumienia, możemy przeprowadzić pewne równoległe porównania między Kościołem a Chrystusem. Z Kościołem bowiem dzieje się to samo, co z Chrystusem. Św. Paweł mówi, że gdy Chrystus przyszedł między nas, nie ukazał się w postaci Bożej, ale „ogółocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi i stawszy się podobnym do ludzi. **A w zewnętrznym przejawie uznany za człowieka**” (Flp 2, 6 ns.).

W tajemnicy Wcielenia Syn Boży nie przyjął jakiegoś idealnego, doskonałego ciała, którym by olśnił ludzi. On stał się solidarny ze wszystkimi i przyjął takie same ciało jak nasze, obciążone następstwami grzechu (choć sam grzechu nie popełnił). Ci, którzy patrzyli na Niego oczyma wiary, odkryli i zobaczyli w Nim Syna Bożego. Natomiast ci, którzy nie uwierzyli, widzieli w Nim tylko człowieka, gorszyli się, gdy się nazywał Synem Bożym i oskarżyli Go o bluźnierstwo (J 10, 36).

Podobnie jest z Kościołem. Gdy Chrystus powołał do istnienia Kościół jako swoje nowe ciało i jako Naród Wybrany Nowego Przymierza, wtedy nie dał mu jakichś idealnych form zewnętrznych, ale przyjął dla niego również zewnętrzną formę ludzkiej organizacji podobnej do wielu innych. Mającą podobne słabości i niedoskonałości (następstwa grzechu), jak każda inna ludzka organizacja. Kościół więc, na zewnątrz istnieje i działa jak każda inna ludzka organizacja, podobna do wielu innych więcej czy mniej doskonałych. Jak Chrystus żyjący wśród nas w ciele podobnym do naszego „w zewnętrznym przejawie uznany był za człowieka”, podobnie Kościół dla zewnętrznego sposobu działania, dla zewnętrznego przejawu, bywa uznawany jako zwykła ludzka organizacja — szczególnie wtedy, gdy słabnie wiara w Kościół.

Skutek jest ten, że ci którzy nie wierzą w Kościół, nie odkrywają w nim tej treści jaka tylko okiem wiary jest widoczna. Natomiast widzą wszystkie niedoskonałości ludzkie i... często gorszą się nimi. Aby zrozumieć Kościół trzeba pamiętać, że gdy Syn Boży stał się człowiekiem, wtedy nie stworzył sobie jakiegoś ciała świętego, wolnego od wszelkich niedoskonałości, ale przyjął zwykłe ciało człowieka, właśnie takie, które wymagało uwolnienia od następstw grzechu, bo w tym ciele pokonał grzech i następstwa jego. Podobnie, gdy powołał do istnienia Naród Wybrany Nowego Przymierza, to przyjmuje do niego również tych, którzy noszą w sobie następstwa grzechu, bo właśnie tych, których przyjmuje chce oczyścić z grzechu i jego następstw w Kościele, czyli w swoim nowym ciele.

ks. Witold Kiedrowski



Za naszą i waszą wolność

Przyjęła węzełek, wyjęła z niego zawartość i oddała mu serwetkę z powrotem.

— Dziękuję panu serdecznie — rzekła przejęta do głębi. — Nigdy panu i pańskiej żonie tego nie zapomnę! Podała mu dłoń, którą uściśnęła gorąco.

— Niech pani się tylko nie gniewa — rzekł od drzwi. — Tu nie chodzi o pamięć... Ale jak pani będzie czegoś potrzebowała, to proszę nas powiadomić. Nie pozwolimy pani zginąć... choćby było jeszcze gorzej!

Podziękowała mu skinieniem głowy, a kiedy zniknął za drzwiami, rzuciła się na łóżko i zapłakała rzewnie. Płacz ten podniósł ją na duchu. Zrozumiała, że nie jest jeszcze tak źle, jak jej się wydawało. Mimo, że sytuacja była ciągle niezmienną, to jednak jaśniej patrzyła w przyszłość. „Ludzie myślą o niej... Jeżeli nie zareagują z miejsca, to nie znaczy, że stali się dla niej obojętni. Rozsądek przeważa u nich często nad uczuciem. Pomyślą, zastanowią się i coś podejmą... Nie trzeba się więc denerwować. Czas wszystko rozstrzygnie!”

Takie rozmyślanie wprawiło ją w lepszy humor... Spojrzała z radością na ofiarowane jej prowianty, które w tych warunkach wydawały się nieocenionym skarbem i zabrała się do przyrządzania kolacji.

Nazajutrz czekała ją nowa niespodzianka. Przed południem odwiedził ją stary nauczyciel Kowalik. Rzadko się z nim widywała, a jeszcze rzadziej z nim rozmawiała. Wiedziała, że czuł żal do niej, gdyż obejmując placówkę w Les Mines, pozbawiła go jednocześnie pracy. Decyzja jednak w tej sprawie nie zależała od niej, ale od Ambasady i Konsulatu. Przyjechała po raz pierwszy na obcy teren i nie orientowała się w życiu środowiska emigracyjnego. Wydawało jej się, że władze kierują się tylko zasadami słuszności i sprawiedliwości i niezdolne są komukolwiek krzywdę wyrządzić. A jednak stary nauczyciel Kowalik za swoją długoletnią pracę nad działalnością polską został pewnego dnia zwolniony dlatego tylko, że znalazł się ktoś lepszy od niego, bardziej wykształcony i lepiej przygotowany do nauczania.

Myślała często nad tym zagadnieniem i stwierdziła, że temu człowiekowi wyrządzono krzywdę. Cóż jednak mogła poradzić? Rozumiała jego niechęć do niej i uważała ją z punktu widzenia ludzkiego za usprawiedliwioną. Żal miała tylko do tych, którzy posłużyli się jej osobą, by mu krzywdę wyrządzić...

W pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła w progu, nie wiedziała co ze sobą począć. Ale stary nauczyciel nie okazał żadnego zakłopotania.

— Przyszedłem się dowiedzieć — zaczął bez żadnego wstępu, podając jej dłoń na powitanie — jak przedstawia się sprawa szkoły, bo ona mi na sercu leży i chętnie bym pani pomógł. Dzieci włóczą się po ulicach i bąki zbijają, a złe języki poszeptują sobie, że już polskiej nauki nie będzie...

Poprosiła go by usiadł, a następnie przedstawiła mu wszystko szczerze, jak należało. Kowalik pokiwał głową.

— No, tak!... Że ludzie się boją, to rozumiacie, bo im nikt nie wyjaśnił dobrze o co chodzi. Ale to głupstwo! Niech mi pani przygotuje tyle tych podań, ile jest rodziców w kopalni co mają dzieci, a ja wszystkich obejdę i podpisy pobieram.

Propozycja ta wydawała jej się tak nieoczekiwana, że omal nie krzyknęła z radości.

— Pan żartuje — wyjąkała po chwili niepewnym głosem. — Przecież pan się naraża!

Uśmiechnął się blade.

— My, Westfalacy, przywykliśmy do walki z Niemcami. Nasi ojcowie walczyli o mowę polską i nie dali się... My walczyliśmy. No i jak trzeba, to jeszcze się na coś przydamy. Niemcy dla nas nie nowina! Kto ich nie zna, to się ich boi. Ale my ich za dobrze znamy.

Nie wierzyła jeszcze swemu szczęściu. Starła się zrozumieć jego postępowanie, poznać przyczyny, które nim kierowały.

— Dlaczego pan to dla mnie robi? Przecież pan wie, że przeze mnie pan został zwolniony!... Od tego czasu pan mnie nie lubi... ja wiem o tym, więc dlaczego?...

Popatrzył jej w oczy z ojcowską wyrozumiałością i powiedział z wolna, a dobitnie:

— Nie jestem uczonym człowiekiem, jak pani, bo szkół nie kończyłem żadnych, ani nauki prywatnie nie pobierałem. Byłem prostym górnikiem, a jak potrzebowali nauczycieli do uczenia dzieci po polsku, to się zgodziłem, bo czytać i pisać w tej mowie potrafiłem. Do nikogo zaś żalu nie mam, tylko do siebie, że taki głupi... że przez tyle lat uczyłem dzieci, a nikt się na mnie nie poznał... Myślałem, że mądry, bo mi wszyscy okazali szacunek i poważanie... Dopiero ten pan konsul wziął mnie za łeb i strącił z tej katedry, na którą włazłem przypadkowo. Ale mu to już przebaczyłem.

Odczuwała w jego słowach zgorzkniałą ironię i żal, ale nic nie odpowiedziała. Siedziała jak przygwożdżona do krzesła, z oczami utkwionymi w podłogę i drżała od wewnętrznego wzruszenia.

Kowalik mówił dalej:

— Jeśli coś robię, to nie robię dla pani, ani dla nikogo, tylko dla polskości. My przejdziemy, a polskość zostanie. To jest ta nasza siła!... Bez tej polskości, to my zgubieni... To my już obcy ludzie... Rodzona babka ani matka by nas nie poznała, choćby już była na tamtym świecie. Kto to wie, temu żadna ofiara nie jest za wielka. I dlatego pójdę do kopalni i pani te podpisy przyniosę...



(ciąg dalszy nastąpi)

Misja skończona?

Od strony rzeczowej zapewne tak, choć nowoczesne wygody wzbogacające domy przyczyniają trudów i trosk związanych z ich utrzymaniem i ochroną.

A jeśli chodzi o apostołat, niestety wszystko pozostaje ledwo rozpoczęte i ciągle trzeba rozpoczynać od nowa tę samą pracę w taki sam sposób. Nawrocenia następują powoli, bo nasi biedni Eskimosi rozwijają się prawie wcale lub bardzo niewiele. Ileż razy po osiągniętych sukcesach następują odstępowania, ileż razy trzeba sobie szczerze powiedzieć, że to co uważałem za zakorzenione było właściwie zupełnie powierzchniowe.

Jeśli chodzi o kraj, to raz na zawsze zastygł on pośród zimna, samotności i trudności; klimat i ludzie są niewzruszeni jak wzgórza z czystego kamienia, które wznoszą się w King's Bay milczące i stoickie ku niebu, a godzą się na słonce i noc, na światło i ciemności, na śnieg i deszcz, wiatr i piękną pogodę z tą samą wzgardliwą obojętnością.

Uporczywie dążąc do poprawienia naszego własnego losu, jak i warunków życia otaczających nas ludzi, podobni jesteście Pigmejom, którzy dokuczają olbrzymom; każde małe zwycięstwo zdaje się powodować nowe cofnięcie, każdy wysiłek inny rodzaj znużenia, każde osiągnięcie ma odwrotną stronę medalu; jedyna droga biegnie przez góry i możecie cieszyć się łatwym zejściem tylko po to, aby wspiąć się znów na stromiznę i to z dużym wysiłkiem!

Myszę o moim pierwszym Bożym Narodzeniu i o tych, które po nim nastąpiły i o najostatniejszym... Wszystkie jednakowe: mało radości, wiele rozczarowań. Mało klęczących wokół żłóbka. Mnóstwo zajęć, które jednakże nie zapobiegają odczuwaniu od czasu do czasu nudy i brzemienia samotności!

Oto na zakończenie jak wyglądało moje ostatnie Boże Narodzenie z 1947 roku.

24 grudnia. — Zaprzęgi zjeżdżają ze wszystkich stron; psów muszą być setki, jeśli sędzić po hałasie i walkach jakie się toczą.

Zanim igloo staną wszędzie dokoła, dzieci i starcy tłoczą się u mnie by się ogrzać: dziś jednak cały mój czas i myśli zajmuje mała Jeanne. Czyżby to był

nowy wypadek zapalenia opon mózgowych? Niepokoję się i cały dzień mija na chodzeniu tam i z powrotem.

Jestem zajęty urządzaniem żłóbka, matki tymczasem przykucnąwszy na piętach dają piersi dzieciakom, a równocześnie wpatrują się z natężeniem w postacie. Patrzą zachwyconymi wzrokiem jak rozmieszczam przeróżne ozdoby; gwiazdę, która się zapala, grootę z papieru naśladującego skałę, w niej ustawie wkrótce figury. Skończone! Wszystkie podnoszą się by z bliska obejrzeć tę nieznaną sobie scenę. Maryja i św. Józef są średnio chwaleni, mały Jezus odnosi dużo większy sukces, ale brunatny wół z białymi rogami, szary osioł z dużymi nastawionymi uszami zbierają ogólne pochwały. Wszyscy zajęci są tylko nimi. Są obmacywani, głaskani, omawiani: Mamaronaverok! (To musi być dobre do jedzenia!) Orsogayak! (Ile tłuszczu!).

Kiedy ukryłem się w swojej izbie, bo zamierałem w ciszy odmówić część brewiarza, młoda mężatka — zaledwie piętnastoletnia — przyszła tam za mną ze swoim pierwszym dzieckiem, które wlokła uczepione spódnicy.

— Falla, czy tej nocy śpiewasz!

— Tak. To jest wielka noc narodzin Zbawiciela!

— Przyjdę ale może byś przysłał Martę, żeby mnie w porę uprzedziła. Pójdę odpocząć, bo zdaje mi się, że będę miała dziecko. A przecież to dopiero mój siódmy księżyc... Co o tym myślisz?

Mogłem się tylko uśmiechnąć, to też wychodząc nie omieszkała wyrazić swojej opinii wobec całego zgromadzenia:

— Wielkie Brwi nic nie wiedzą.

Była godzina dwudziesta. W dwie godziny później słuchołem spowiedzi, kiedy ktoś nadszedł:

— Falla, chodź! Ayulak ma dziecko!

Sądziłem, że poród jest przedwczesny, a więc myśleli, że chyba zechcą natychmiast ochrzcić dziecko. Biegnę, jedno spojrzenie wystarczyło, by twierdzić, że niemowlę przyszło na świat w normalnym czasie, wracam zatem do moich penitentów, rzuciwszy uśmiechniętej mamusi:

— Siódmy księżyc, ci Eskimosi nic nie wiedzą!

Wskazówki dwa razy obiegły zegar i ja z kolei otworzyłem usta ze zdumienia, bo Ayulak silna i już pełna życia

przyszła na nabożeństwo.

Pasterka! Kolęda! Kolęda po eskimosku. Dlaczego ta właśnie pieśń sprawia, że nieuchronnie musimy przenieść się do naszego rodzinnego kościoła?

Wielka wigilia! Jadłospis: niedźwiedź gotowany, surowe karibu, mrożony losos.

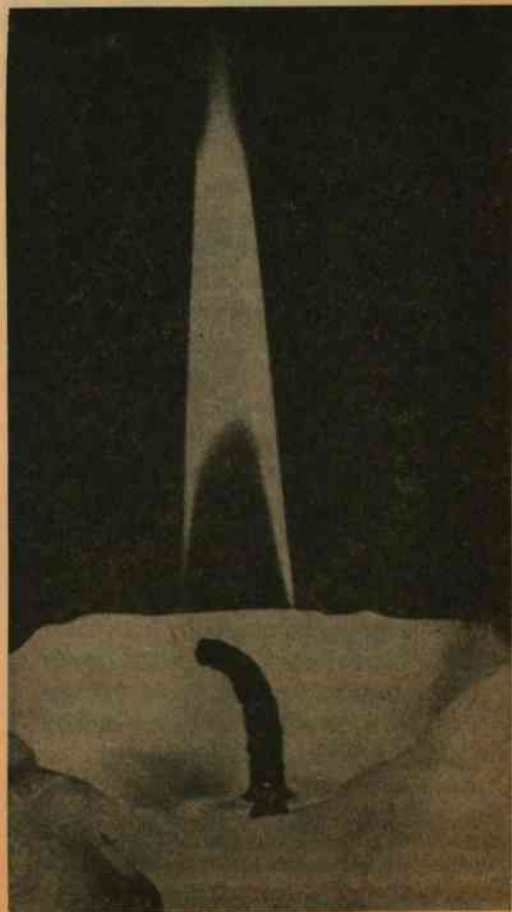
Potem przez całą noc bawią się na lodzie w blasku księżyca pozostawiając mnie samego z moimi myślami, marzeniami i samotnością.

Nazajutrz wielki bal. Wyścigi piesze, wyścigi sań, popisy zręcznościowe, tańce! Tylko Natkusiak jest smutny, stary... umierający! Przygotowują go do dalekiej podróży, podczas gdy na dworze tuż obok wszyscy inni, nawet jego dzieci, śmieją się, bawią się, pozwalając by sam szukał tej ostatniej drogi i odbył ją w samotności.

Mała Jeanne też czuje się gorzej, niewątpliwie jest to zapalenie opon mózgowych, któremu lekarze jakby nie umieli zapobiec. Co nie przeszkadza, że jej matka wygrała wyścigi saniami zaprzęgniętymi w psy!

Podczas, gdy walczę ze śmiercią o tych dwoje chorych, dokuśtykaliśmy jakoś do Nowego Roku.

Roger Bulliard OMI.





Jakimi słowami, jakim głosem możemy opisać grotę Zbawiciela? Grotę i żłóbek, w którym Dzieciątko kwiliło, należy uczcić raczej milczeniem niż niedołążną mową. Gdzie są obszerne portyki? Gdzie złożone stropy? Gdzie domy trudem nieszczęśliwych i pracą skazańców ozdobione? Gdzie bazyliki wzniesione na kształt pałacu za bogactwa pojedynczych ludzi, by marny człowiek cielesny w większym przepychu mógł się przechadzać i wolał raczej spoglądać na swe dachy niż na niebo? Oto w małej szczelinie ziemi Stwórca niebios się narodził. Tu owinięty był w pieluszki, tu widziany przez pasterzy, tu wskazany przez gwiazdę, tu uczczony przez królów.

św. Hieronim

Dochodzenie prowadzone przez wójta

Pocziwy proboszcz ogłasza z ambo-ny ze łzami w oczach usłyszaną wiadomość. Wierni nie mogą dobrze zrozumieć jego słów, domyślają się jednak, że musiało się wczoraj, tam na górze, wydarzyć coś tajemniczego. Wójt, M. Peytard wraz ze swoimi doradcami dyskutuje żywo na ten temat po wyjściu z kościoła. Jan Moussier powtarza również to, co słyszał w Ablandens, lecz nikt nie wierzy w dziecinne bajki. — „To nic ważnego” — twierdzi pewien stróż.

Wójt, człowiek wyrobiony i bystry, zainteresował się szczerze tą sprawą. Po niesporach zaczyna przeprowadzać dochodzenie. Udaje się do Ablandens, gdzie przeprowadza dłuższą rozmowę z Baptystą Pra. Wypytuje następnie Melanię. Pozwala jej opowiadać nie przerywając. Zdziwiony przekonywającym tonem dziewczyny stawia jej różne podchwytliwe pytania. Ale pasterka nie ustępuje. Widząc, że mu się to nie udaje grozi jej sądem i więzieniem; a gdy i to nie pomaga próbuje ją przekupić — błyszczącymi talarami, które jej pokazuje — ale na próżno! Badanie trwało trzy godziny i wójt zaczął sobie zadawać pytanie, czy jednak Melania nie mówi rzeczywiście prawdy. Z ostrożności polecił Baptyście Pra, aby zabronił pasterce widzieć się z Maksyminem, dopóki go sam nie wypyta. Należało zapobiec porozumieniu się dzieci ze sobą.

Po odjeździe wójta, Jan Chrzyciel Pra, oświadcza: „To jest ważne, co mała powiedziała, trzeba to wszystko spisać”.

Idzie więc do Piotra Selme i sąsiada Jana Moussier.

W kuchni Pra, Melania dyktuje powoli, słowo po słowie. Trzej mężczyźni razem opracowują tłumaczenie gwary i późno w nocy praca jest ukończona. Piotr Selme, Jan Chrzyciel Pra i Jan Moussier podpisują się u dołu ostatniej strony.

Ten dokument, znany pod nazwą relacji Pra, stanowi jeden z najważniejszych dokumentów zjawienia.

Dopiero po siedmiu godzinach spędzonych na odpowiadaniu na zadawane jej pytania Melania mogła wreszcie iść spać.

Zródło czynne

Nazajutrz 21 września, Jan Chrzyciel Pra w towarzystwie kilku sąsiadów przybył na górę. Uderza ich fakt niezwykle: z „Małego Zródła” płynie obficie woda. Wszyscy chcą się jej napić.

Zródło to było zazwyczaj wyschnięte. Jedynie w czasie wielkich deszczów lub podczas topnienia śniegu płynęła z niego woda. Od chwili zjawienia wypływa woda z niego nieprzerwanie. Jest to „Cudowne Zródło”, cudowne przede wszystkim dlatego, że zawdzięcza mu się wiele łask i nawróceń.

Tego samego dnia wójt prowadzi dochodzenie w Corps. Najpierw wypytuje kołodzieja, następnie Maksymina. Chłopiec opowiada to samo, co Melania.

Wójt przemawia do niego tonem poważnym: „Maksymilianie, nie chciałbym być na twoim miejscu. Głosisz nowinę, która zakłóca umysły wszystkich, i która może wywołać smutne następstwa. Wolałbym zabić kogoś, aniżeli wymyślić to wszystko, o czym wspólnie z Melanią opowiadacie”.

„Jak to wymyślić? — odpowiada z oburzeniem Maksymin. — Jak sobie to pan wyobraża, aby podobne rzeczy wymyślić? Nie opowiadaliśmy niczego innego, jak tylko to, co widzieliśmy na własne oczy i słyszeliśmy na własne uszy”.

Wójt zgadza się na uzgodnienie faktów na samym miejscu zjawienia. W niedzielę, dnia 27 września przyszło na górę 10 osób. Wójt żywił nadzieję, że potrafi przeniknąć tajemnicę tej niepokojącej historii, a tym samym zawstydić pastuszków.

Na górze odpowiadają dzieci bez wahaniami na wszystkie pytania, nawet na najbardziej nieoczekiwane.

W podobnych okolicznościach pewien proboszcz rzekł do Melanii: „Ale przecież łatwo jest ukryć się w chmurze i zniknąć!”

„Jeśli to łatwe — odpowiedziała Melania — to niech ksiądz proboszcz ukryje się chmurą i zniknie!”

Pasterze wskazują z największą dokładnością miejsca, na których znajdowali się przed i po zjawieniu, oraz opowiadają szczegółowo to, co widzieli i słyszeli, powtarzając te same ges-

ty, pozy; odtwarzają scenę, której byli świadkami.

Obecni świadkowie są głęboko wzruszeni dokładnością szczegółów i religijnym szacunkiem z jakim pasterze powtarzają słowa „Pięknego Pana”. Uderza łatwość ich odpowiedzi na wszystkie zarzuty, oraz wielka swoboda, z jaką powtarzają mowę „Pięknego Pana” w języku, którego nie znali.

Rezultat dochodzenia zmusił do zastanowienia wszystkich ludzi w Corps, a w szczególności ks. proboszcza Melanii.

Po powrocie do parafii zawiadamia o wszystkim swego biskupa.

Msgr de Bruillard, ordynariusz Grenoble, przez kilka dni rozważa to wszystko, a po otrzymaniu obszerniejszych relacji na temat zjawienia wysłał do wszystkich księży proboszczów swojej diecezji pismo, w którym przypomina przepisy kościelne dotyczące podobnych wypadków. Zanim nie dokona się urzędowego zbadania sprawy, wszyscy powinni pod tym względem zachować wielką roztropność, a przede wszystkim absolutne milczenie. Następnie tworzy komisję złożoną z szesnastu członków, kapłanów najbardziej wykształconych i roztropnych w swoim biskupim mieście.

Nazajutrz, tzn. 28 września, wspina się na górę ksiądz proboszcz w towarzystwie parafian i świadków zjawienia. On również zostaje mocno poruszony. Przed zejściem z góry klęka obok źródła i modli się gorąco do Matki Najświętszej. Na pamiątkę przynosi do Corps kawałek kamienia, na którym siedziała „Piękna Pani”.

Poruszenie wśród ludzi

Wiadomość o zjawieniu rozchodziła się bardzo szybko. Ludzie nie czekając na urzędowe zatwierdzenie Kościoła, wspinali się na górę. Od miesiąca listopada, pomimo śniegu, pielgrzymowali już grupowo mieszkańcy z kantonu Corps. W roku następnym ciągnęły na miejsce zjawienia tłumy z całej Francji i z zagranicy. Liczbę pielgrzymów, którzy w pierwszą rocznicę zjawienia, 19 września 1847 r. przybyli na świętą górę, ocenia się na około 50 tysięcy osób.

A nie było wówczas jeszcze żadnej stałej drogi. Istniały jedynie ścieżki górskie i to bynajmniej nie zachęcające do chodzenia z powodu licznych przeszkód. Pomimo tych przeszkód nie-

wiasty, dzieci, starcy, chorzy, słabi, wspinali się na górę długimi korowodami. Najślabi czynili to na grzbiecie muła, inni zdążali pieszo, niektórzy nawet bosy, dla większej pokuty.

Świadectwo naocznych świadków

Pod koniec listopada 1846 r. umieszczono małych świadków zjawienia w klasztorze Sióstr Opatrzności w Corps. Siostry zakonne nauczyły ich czytać i pisać, także dzięki siostronom dzieci przyswoiły sobie katechizm. W dwa lata po zjawieniu, w maju 1848 r. dzieci były już tak zaznajomione z prawdami wiary, że można je było dopuścić do I Komunii świętej.

U Sióstr Opatrzności pozostały 4 lata. Podczas pobytu były ustawicznie nagabywane niezliczonymi pytaniami, na które musiały dawać odpowiedzi. Odpowiadały w krótkich zdaniach i z wielką szczerością, zachowując naturalność i spokój, nawet przed osobami wysoko postawionymi. Nie zdając sobie z tego sprawy, zadziwiają i wprowadzają w zakłopotanie najręczniejszych rozmówców jasnością swych odpowiedzi i zdumiewającymi słowami, które padają z ich ust.

Po każdej wizycie nie rozmawiają na jej temat ani pomiędzy sobą, ani ze współtowarzyszami, ani też z zakonnicami. Chętnie by się obeszły bez tych wizyt. Pewnego dnia zapytano Melanię, czy jest szczęśliwa i zadowolona, że „Piękna Pani” obarczyła ją tą misją. Odpowiedziała: „Wolałabym być wolna od mówienia tego wszystkiego, byleby oni to wiedzieli”.

Cuda i nawrócenia

Wkrótce cuda i nawrócenia potwierdzają opowiadania dzieci. Ojciec Maksymina został uzdrowiony z astmy; niewiasta Laurent z Corps, od lat ciężko chora na nogi, zaczyna chodzić. To wszystko zmusza do myślenia i ludzie zaczynają się nawracać. A cudów tych było tyle, że dawny rektor bazyliki, późniejszy biskup z Cahors, Msgr Giray mógł napisać o nich dwa grube tomy.

La Salette zaczęło obfitować przede wszystkim w nawrócenia, które są największym cudem. Wśród najślawniejszych nawróconych wystarczy wspomnieć wnuka Renana, Ernesta Psichari, Leona Bloy i całą grupę pisarzy, jak Stanisław Fumet, Piotr van der Merr, Jakub i Raissa Maritain, Henryk Ghé-

on, Jerzy Bernanos, Ludwik Massignon, Paweł Claudel, Karol Huysmans...

Charles de Salmiech MS



4 IV 1976 r. na mocy specjalnej dyspensy papieskiej zotął wyświęcony na kapłana dziewiętnastoletni seminarzysta włoski ks. Cesare Bisognin z Turynu. Był to chłopiec ciężko chory. Zmarł jeszcze w tym samym miesiącu — 26 IV 1976 r. W rozmowie z innym kapłanem powiedział: „Uważam, że moim specyficznym zadaniem kapłańskim jest danie odwagi i rozbudzenie nadziei u tych ludzi, którzy znajdują się w sytuacji podobnej do mojej, to znaczy — cierpią. Do końca moich dni będę się modlił o to, by Bóg zbawił wszystkich chorych, kalekich i upośledzonych? Na to pytanie Pismo św. odpowiada wyraźnie: „I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie”.

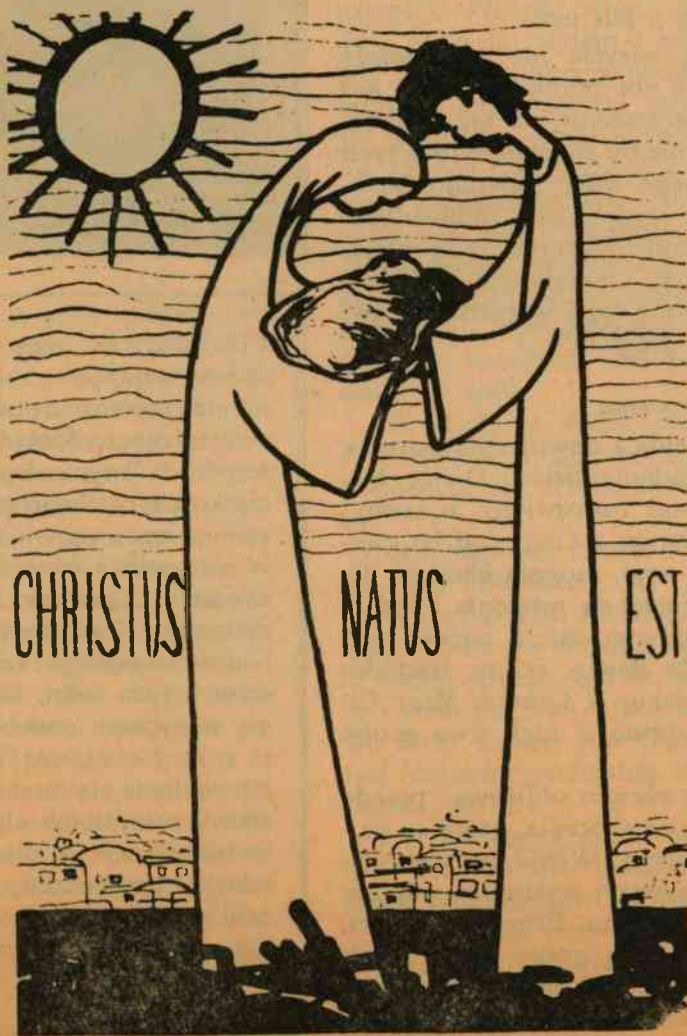
BOŻE NARODZENIE

Tyle jest nędzy, żalu!
Tysiące dotkniętych śmiercią bliskich,
tysiące samotnych, bezdomnych dzieci ulicy,
ludzie opuszczeni,
sponiewierani, naznaczeni cierpieniem...

Tyle jest dobra, chęci pomocy!
Ludzie, którzy pomagają, wnoszą uśmiech,
którzy ratują bezdomne sieroty,
którzy przebaczą.

Bo jest Jezus.

Dobrzy, ludzie dobrej woli, odkrywają Go
w betlejemskim żłobie świata,
w bólu człowieka.
Podnoszą Jezusa
ze żłobu,
by przez nich kroczył znowu po ziemi,
uzdrawiając, lecząc,
czyniąc dobrze wokół.



Mówić Bogu »tak«

Zapukałam nieśmiało do ciężkich orzechowych drzwi, tak grubych, że ledwo usłyszałam w odpowiedzi ciche „Ave”.

Uchyliłam drzwi. Od dużego biurka podniosła się drobna, delikatna postać.

— Jakże się miewasz, Mario droga? — zapytała matka przełożona. Potem ujęła obie moje ręce w swoje i patrząc mi w oczy rzekła:

— Powiedz mi, Mario, jaka jest najważniejsza rzecz, której się nauczyłaś tutaj w klasztorze w Nonnberg?

Odpowiedziałam bez chwili wahania:

— Jedyną ważną rzeczą jest poznać wolę Boga i wypełniać ją.

— Nawet jeżeli nie masz chęci? Nawet jeżeli jest ciężka? — Jej ręce trzymały moje w mocnym uścisku.

— Tak matko, wtedy także i zawsze z całego serca.

— Doskonale, Mario. Otóż wolę Boga jest, abyś od nas odeszła... ale tylko na krótko — dodała, widząc moje przerażenie.

— Porzucić Nonnberg? — wyszeptalam i oczy napęłniły mi się łzami.

Przyciągnęła mnie do siebie, obejmując moje wstrząsane łkaniem ramiona.

— Wiesz sama, że z twoimi bólami głowy jest coraz gorzej. Lekarz uważa, że przeskok od twoich górskich wędrówek do życia klasztornego był zbyt nagły i radzi, żebym cię wysłała na rok gdzieś, gdzie mogłabyś prowadzić zdrowe, normalne życie. W ten sposób odzyskałabyś równowagę fizyczną i w czerwcu wróciłabyś tutaj, żeby nas już więcej nie opuścić.

Po chwili milczenia ciągnęła dalej:

— Odwiedził nas dzisiaj niejaki baron von Trapp, kapitan w stanie spoczynku austriackiej marynarki wojennej. Potrzebuje nauczycielki dla jednej ze swoich córeczek, która jest chora. Udasz się do niego dziś po południu. A teraz uklęknij: chcę ci dać moje błogosławieństwo.

Uklękałam. Delikatna ręka uczyniła na moim czole znak krzyża.

Wyjął z kieszeni gwizdek...

Kilka godzin potem odwróciłam głowę, aby ostatni raz spojrzeć z miłością na drogie mi mury klasztoru.

Wieczorem przybyłam do Aigen ko-

ło Salzburga. Gdy weszłam w aleję wiodącą do willi barona von Trapp, w progu ukazał się dobrotliwie wyglądający mężczyzna ubrany w szary kostium tyrolski.

— Jestem nową nauczycielką — powiedziałam. — Czy pan kapitan?

— Nie, proszę pani. Jestem Hans, majordomus.

— Dzień dobry, Hans — rzekłam podając mu rękę.

Uścisnął ją z pośpiechem, wydawał się trochę zmieszany.

Nagle usłyszałam za sobą szybkie kroki. To był on, kapitan von Trapp, wysoki, nieskazitelnie ubrany pan.

— Rad jestem, że pani przyjechała, Fräulein...

Powiedziałam swoje imię: — Maria.

— Chciałbym, żeby pani przede wszystkim poznała moje dzieci.

Wyjął z kieszeni gwizdek i wydał całą serię rozmaitych dźwięków.

— Widzi pani — wyjaśnił — trzeba dużo czasu, żeby zwołać sześcioro dzieci po imieniu. Dlatego wyznaczyłem każdemu inny sygnał.

Pod wodzą dziewczynki o skupionym, poważnym wyrazie twarzy, cała mała procesja zeszła ze schodów w milczeniu prawie uroczystym. Cztery dziewczynki (Agata, Hedwig, Martina i Johanna) i dwóch chłopców (Rupert i Werner), wszyscy w granatowych marynarskich ubrankach. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie, wszyscy jednakowo zaskoczeni. Nigdy w życiu nie widziałam tak wzorowej gromadki dzieci.

— Oto wasza nowa nauczycielka: Fräulein Maria.

— Grüss Gott, Fräulein Maria — sześć głosów pozdrowiło mnie zgodnym chórem. Po czym nastąpiło sześć nienagannych ukłonów.

Wydawało mi się, że śnię. Mój kapelus, trochę śmieszny, kiedy go dotknęłam spadł i potoczył się po lśniącej posadzce pod same nogi uroczej pięcioletniej dziewczynki. Zaśmiała się. W ślad za nią roześmieliśmy się wszyscy.

— To Johanna — rzekł ojciec przedstawiając mi małą śmieszkę.

„Cóż za urocze dziecko”, pomyślałam. Mała schowała rączki za siebie i przyglądała mi się w milczeniu.

— Która z nich ma być moją uczennicą? — spytałam kapitana.

— Zaraz panią do niej zaprowadzę.

Gestem odprawił dzieci i idąc przede mną schodami na piętro, wyjaśnił:

— Od czasu, kiedy zachorowała na szkarlatynę, serce ma osłabione. Ostatnio przeszła grypę i nie może jakoś wrócić do sił. Biedna mała!

Na górze, w wielkim pokoju pełnym słońca, chora dziewczynka spoczywała wsparta o całą górę poduszek.

— To jest Maria — powiedział kapitan nachylając się ku bladej twarzyczce. I ciągnął dalej cichym, pełnym czułości głosem: — Jestem pewny, że wy obie będziecie się lubiły, moja mała. Macie nawet to samo imię.

Słaby uśmiech rozjaśnił buzię dziewczynki i cichy głosik odpowiedział:

— Tak, tatusiu, i cieszę się z poznaania Fräulein Marii.

Bohater narodowy

Kapitan Georg von Trapp urodził się i wychował nad morzem. Był jednym z pierwszych, którzy zrozumieli jakie znaczenie mogą mieć dla wojny łodzie podwodne. Przydzielony został do Fiume, gdzie dla całej Europy konstruowało się torpedy i jemu to powierzono dowództwo pierwszej łodzi podwodnej, jaką dysponowała austriacka marynarka wojenna.

Młoda panienska, która jako matka chrzestna brała udział w wodowaniu tego okrętu, była córką wynalazcy torpedy i właściciela wytwórni torped, Roberta Whitehead.

Ta piękna, łagodnego usposobienia, bajecznie bogata dziewczyna została żoną Georga von Trapp. W Pola, obok stoczni austriackiej marynarki wojennej, zbudowali sobie willę nad brzegiem morza i żyli szczęśliwie.

Wybuchła pierwsza wojna światowa. Kapitan von Trapp dokonywał cudów na swojej łodzi podwodnej i przyczynił wielu strat włoskim konwojom. Zdobył najwyższe austriackie odznaczenie wojskowe: krzyż cesarzowej Marii Teresy. Każdy kawaler krzyża Marii Teresy otrzymywał wraz z nim tytuł barona.

Stał się bożyszczem swoich ziomków. Ale Austria przegrała wojnę i utraciła wszystkie nadmorskie miasta; dumna cesarska marynarka wojenna przestała istnieć.

A potem epidemia szkarlatyny zabrała młodą żonę barona.

Dlaczego nie zaśpiewacie ze mną?

W deszczowe popołudnie sobotnie, kiedy wszystkie dzieci skończyły już odrobienie lekcji, starsi chłopcy przyszli do pokoju dziewczynek. Spojrzenie Wenera padło na moją gitarę, zawieszoną na ścianie koło mego łóżka.

— Pani umie na niej grać, Fräulein — zapytał.

— Owszem, umiem — odpowiedziałam i poszłam zdjąć instrument ze ściany. A potem zaproponowałam:

— Zaśpiewajmy coś razem.

Byłam zdumiona słysząc jak harmonijnie stapiają się z sobą te głosy. Po prześpiewaniu zaledwie trzech strof harmonia była idealna.

W krótkim czasie zestawiliśmy wspólnie niewielką listę: Kilka pieśni marynarskich, w czym parę włoskich, których dzieci nauczyły się od ojca; jedna myśliwska; dwie żartobliwe piosenki w dialekcie; jedna czy dwie pieśni religijne; pierwsze takty „Pod lipą”, „Polnej różyczki”, „Lorelei”; dwie kolędy i hymn narodowy. Pewnego wieczora, na krótko przed Bożym Narodzeniem, postanowiliśmy zrobić próbę generalną naszego świątecznego repertuaru. Maria, która umiała już grać łatwiejsze kawałki na skrzypcach, miała akompaniować chórowi.

Zeszliśmy wszyscy na dół i w idealnym porządku zasiedliśmy na dywanie przed płonącym w kominku ogniem. Maria, której policzki zaróżowiły się z podniecenia, grała, a my śpiewaliśmy na trzy głosy „In dulci jubilo”. Nagle otworzyły się drzwi.

— Tatus, tatus! — wykrzyknęły dzieci. Kapitan schylił się, ucałował wszystkie po kolei i usiadł razem z nami na podłodze biorąc dwie najmłodsze córeczki na kolana.

Zaczęliśmy znowu śpiewać. Był to niezmiernie miły wieczór. Kapitan raz po raz wykrzykiwał: — Ach, dzieci, czyż to nie wspaniałe!

Owszem, jest sympatyczny

Minęło Boże Narodzenie, nadeszła wiosna. Pewnego dnia, stojąc na drabinie, zajęta byłam myciem kryształowego żyrandola. Przybiegły trzy dziewczynki, wołając chórem:

— Tatus pyta, czy jest dla pani sympatyczny.

— Ależ tak, oczywiście, jest sympatyczny — odpowiedziałam. Dziewczynki wybiegły uradowane.

Rozmyślałam o moim rychłym powrocie do Nonnberg, gdzie miałam odbyć nowicjat. Tego samego wieczoru, podczas gdy układałam kwiaty w wielkich, bardzo pięknych wschodnich wazonach, wszedł kapitan. Zbliżył się i przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak układam peonie. Nagle powiedział:

— To było naprawdę bardzo miłe z pani strony.

Podniosłam oczy i napotkałam jego wzrok. Wpatrywał się we mnie tak przez nikliwie, że schyliłam głowę, dziwnie zmieszana.

— Co było miłe z mojej strony?

— Czyż nie przysłała pani do mnie dziś rano moje trzy córeczki z oznajmieniem, że zgadza się pani mnie poślubić?

Nożyczki i peonie wypadły mi z rąk.

— Że zgadzam się pana poślubić? — wyjąkałam zdumiona.

— No tak. Dziewczynki przysły do mnie dziś rano i powiedziały mi, że zrobiły naradę wraz z chłopcami i doszły do wniosku, że jedynym sposobem zatrzymania pani z nami, aby pani nie wracała już do Nonnberg, byłoby, że bym się z panią ożenił. Odpowiedziałem, że zrobiłbym to chętnie, ale nie wiem, czy wydają się pani sympatyczny. Więc te małe pobiegły wtedy do pani i wróciły natychmiast, już z daleka wołając, że pani powiedziała: „Owszem, jest sympatyczny”.

Byłam wstrząśnięta. W powietrzu zawisło milczenie. Za kilka dni miałam wrócić do Nonnberg, na zawsze. A tu oto stał przede mną człowiek, który chciał, żebym została jego żoną.

— Ależ, kapitanie — zaczęłam — pan przecież wie, że wkrótce wracam do mojego klasztoru, a nie można jednocześnie zostać zakonnicą i wyjść za mąż.

Wzrok kapitana zachmurzył się.

— Czy to pani ostatnie słowo? Nie mogę mieć żadnej nadziei?

Przyszło mi coś na myśl.

— Pan wie — powiedziałam — że mamy w klasztorze przełożoną nowicjuszek. To, co ona mi powie, będę uważała za wyraz woli Bożej. Proszę mi pozwolić pojechać i spytać ją.

Wołaj Boga jest, abys poślubiła kapitana

Niezwłocznie wybrałam się do Nonnberg. Byłam uradowana z pretekstu

do odwiedzenia mego klasztoru w środku tygodnia.

Poprosiłam matkę Raffaellę, przełożoną nowicjuszek. Opowiedziałam jej wszystko. Matka Raffaella popatrzyła na mnie macierzyńskim wzrokiem, ale nie powiedziała ani słowa: wstała i wyszła z pokoju. Wróciła po upływie godziny, mówiąc, że matka Przeorysza czeka na mnie.

Matka ujęła moje obie ręce i trzymała je długą chwilę wpatrując się we mnie serdecznie. W końcu rzekła:

— Matka Raffaella opowiedziała mi wszystko. Modliłyśmy się razem do Duchy Świętego i stało się dla nas jasne (tu jej dłonie mocniej uściśniły moje), że wołaj Boga jest, abys poślubiła kapitana i była dobrą matką dla jego dzieci.

I tak, 26 listopada nastąpił wielki dzień naszego ślubu.

Zrób, żeby to był chłopczyk!

W kilka miesięcy potem, gdy dzieci bawiły się na łące, Hedwig odezwała się, niemal z urazą:

— Mamo, to już trzeci raz nie chcesz grać z nami w piłkę. Bez ciebie to żadna zabawa. Chodź, masz tu piłkę.

Przywołałam ich wszystkich do siebie i tak, siedząc pod ścianą z bali pasterskiego szałas w parku, oznajmiłam im, że wkrótce po Bożym Narodzeniu ześle im Pan Bóg braciszka albo siostrzyczkę.

— Ach, mamo, zrób żeby to był chłopczyk — westchnął Werner — dziewczynkę mamy już pięć!

A Martina spytała:

— Jeżeli dopiero po Bożym Narodzeniu, to skąd już o tym wiesz?

Więc wytłumaczyłam im.

Była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy niebo styka się z ziemią.

Georg umarł 30 maja

Mój mąż zachorował: rak płuc. Choroba czyniła gwałtowne postępy; pewnego ranka lekarka, osłuchiwała mu jak zwykle serce, potem powiedziała cicho: Boję się, że to koniec.

Wiedziałam, co teraz powinnam zrobić. Już wiele lat temu przyrzekliśmy sobie nawzajem, że kiedy jedno z nas będzie bliskie śmierci, drugie mu o tym powie.

Podniosłam się z klęczek, nachyliłam do jego ucha i szepnęłam: Georg, zbliża się śmierć.

Szloch wstrząsnął jego piersią. Prawym ramieniem otoczył moją szyję, ręką poszukał czoła: błogosławieństwo i pożegnanie.

— Georg, Georg, mój najdroższy, chętnie przyjmiesz śmierć z ręki Boga, prawda?

— Tak — wyszeptał.

Pewien święty powiedział: Najpiękniejszym słowem, jakie człowiek może wyrzec Bogu jest „tak”.

Georg umarł 30 maja 1947 roku.

„Kiedy umrę, nie powinniście opłakiwać mojego spoczynku”, powtarzał mi nieraz Georg. „Pozwólcie mi spać jeden lub dwa dni z wami, w naszym salonie; zasiądziecie wszyscy dokoła mnie, będziecie się modlić i śpiewać. Musicie mi zaśpiewać moje wszystkie ulubione pieśni. I chciałbym dużo kwiatów”. A kiedyś dodał jeszcze: „Wiesz, znalazłem już miejsce dla siebie, niezbyt daleko od domu; będziecie mogli często mnie odwiedzać”. I pokazał mi to miejsce.

Dzieci przywozły pełen wóz kwitnących gałęzi i nasz salonik przemienił się w ogród. Tatuś leżał ubrany w swój tyrolski strój z szarej wełny. Położyliśmy mu na piersi krzyż Marii Teresy. Na kolanach rozpostarliśmy banderę z jego dawnej łodzi podwodnej. Jego twarz promieniała. Przywodziła na myśl słowa świętego Pawła: „Stoczyłem dobrą walkę; bieg ukończyłem; zachowałem wiarę. Wieniec chwały czeka na mnie gotowy”.

Maria Augusta TRAPP



Pomóż tym dzieciom!

Są to wspomnienia pastora protestanckiego Davida Wilkersona, który pod koniec lat pięćdziesiątych rozpoczął samotną, pełną poświęcenia walkę o odrodzenie moralne i duchowe dzieci i młodzieży z nowojorskiego marginesu społecznego. Całe przedsięwzięcie, wspierane wyłącznie żarliwą wiarą młodego pastora, w zasadzie od samego początku skazane było na niepowodzenie. Brak pieniędzy, współpracowników i jakichkolwiek ram organizacyjnych uniemożliwiało efektywne działanie na szeroką skalę. David Wilkerson z początku spotykał się tylko z niezrozumieniem, drwiną i groźbami. Przeżył straszne godziny lęku i wątplenia w swoją misję... Później nadeszły też pierwsze sukcesy, które umocniły młodego pastora, pozwoliły mu kontynuować pracę i głosić Ewangelię młodzieży zagubionej w występku i okrucieństwie betonowej dżungli nowojorskich dzielnic nędzy.

Pastor David Wilkerson stoi obecnie na czele Teen Challenge — szerokiego ruchu mającego na celu roztaczanie opieki nad młodzieżą „trudną” i udzielanie jej pomocy w odnalezieniu swej osobowości poprzez spotkanie z Bogiem.

Cała ta przedziwna przygoda rozpoczęła się późno, pewnego wieczoru, gdy siedząc w swoim biurze zacząłem przeglądać tygodnik „Life”.

Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic, co mogłoby mnie zainteresować. Znajdował się tam rysunek otwarzający proces, który toczył się w Nowym Jorku, 350 mil stąd. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku i nic mnie tam nie ciągnęło, chyba że chęć obejrzenia Statuy Wolności.

Odwracałem właśnie stronę czasopisma, gdy uwagę moją przyciągnął wyraz oczu jednej z postaci przedstawionych na rysunku, chłopca — jednego z siedmiu chłopców oskarżonych o zabójstwo. Artyście udało się odtworzyć w rysach twarzy takie zagubienie, nienawiść i rozpacz, że szerzej otworzyłem pismo, by się przyjrzeć dokładniej rysunkowi. Zacząłem płakać.

— Co się ze mną dzieje? — powiedziałem głośno, wycierając łzę rozdrażnionym gestem. Jeszcze uważniej przy-

rzałem się rysunkowi. Chłopcy, członkowie gangu Dragonów, byli zaledwie dorastający. Pod rysunkiem umieszczony był opis ich spaceru w Highbridge Parc w Nowym Jorku, brutalnego napadu i zabójstwa popełnionego na piętnastoletniej, częściowo sparaliżowanej Michael Farmer. Zadali jej siedem ciosów nożem w plecy, następnie pasem wojskowym cios w głowę. Wtedy porzucili swą ofiarę, wycierając zakrwawione ręce we włosy i mówiąc: Aleśmy ją dopadli!

Historia ta wzburzyła mnie i ścisnęła mi serce. W naszej górskiej wiosce takie wydarzenia wydawały się nierealne. Właśnie dlatego byłem niemal ogłuszony myślą, która zrodziła się we mnie, przychodząc jakby z zewnątrz: „Jedź do Nowego Jorku i pomóż tym dzieciakom!”

Zacząłem się śmiać: „Ja mam jechać do Nowego Jorku? Skromny kandydat wiejski zamieszany w wydarzenia, o których wiem mniej niż nic?”

Jedź do Nowego Jorku i pomóż tym dzieciakom — ta myśl była ciągle obecna, jaśniejsza niż przedtem i wydawała się całkowicie niezależna od moich osobistych opinii oraz uczuć.

„Byłoby to prawdziwe szaleństwo! Nic nie wiem o tego rodzaju dzieciach... i nic nie chcę o nich wiedzieć”.

Nie zdało się to na nic. Myśl ta nie opuszczała mnie. Powinienem pojechać do Nowego Jorku, i to pojechać tam teraz, gdy proces ciągle jeszcze trwa.

Aby zrozumieć, jakiego typu zmian wymagała ode mnie realizacja tego postanowienia, trzeba wiedzieć jak bardzo do tej pory życie moje było uporządkowane i planowe. Uporządkowane a jednocześnie dające satysfakcję. Powierzona mojej opiece mała wspólnota kościelna w górzystym Philipsburgu w Pensylwanii rozrastała się powoli ale skutecznie. Mieliśmy już nowy kościół i rosnący stale budżet misyjny. Byłem dumny z tego wzrostu. Moja żona Gwen i ja ciężko pracowaliśmy w Philipsburgu... i nie bez sukcesów. Na początku roku 1958 nasza wspólnota liczyła 250 parafian, w tym naszego najmłodszego synka — Bonnie.

Coś mnie jednak niepokoiło. Zaczynałem odczuwać rodzaj pustki duchowej. Nie mogłem już cieszyć się widokiem naszego nowego kościoła, świadomości rosnącego budżetu ani tłu-

mem wypełniającym ławki w kościele.

Wtedy właśnie postanowiłem sprzedać nasz telewizor, który nie dając nic w zamian, zabierał mi cały wolny czas, należny mojej rodzinie i mnie samemu. Od tego momentu moje życie odmieniło się. Każdego wieczoru, zamiast nacisnąć guzik selektora programów, oddawałem się studiom Pisma Świętego, zamykałem drzwi i zaczynałem się modlić. To właśnie w czasie jednego z tych poświęconych modlitwie wieczorów otworzyłem tygodnik „Life”.

Byłem przedziwnie wzbudzony przez cały wieczór. W domu nie było nikogo: Gwen i dzieci byli w Pittsburgu z wizytą u dziadków. Modliłem się już dość długo. Czułem się tego wieczoru szczególnie bliski Boga, a jednocześnie, nie rozumiejąc dobrze dlaczego, odczuwałem głęboki smutek. Ogarnął mnie nagle i sam zadawałem sobie pytanie, co to mogło znaczyć. Podniosłem się i zapaliłem światło. Byłem niespokojny tak, jakbym otrzymał rozkaz, którego nie mogłem zrozumieć. „Czego chcesz ode mnie Panie?”

Błąkałem się po domu, usiłując zrozumieć, co się ze mną dzieje. Na moim biurku leżał egzemplarz tygodnika „Life”. Kiedy wyciągnąłem rękę, by wziąć czasopismo, zgaśniłem sam siebie. Nie, nie złapię się w taką pułapkę! Nie będę czytał tygodników w czasie, który przeznaczyłem na modlitwę!

Znowu zacząłem krążyć po domu, ale za każdym razem, gdy powracałem w pobliże biurka, uwagę moją przyciągał leżący tam egzemplarz czasopisma. „Panie, czy w tym tygodniku jest coś, co pragniesz mi pokazać?” — powiedziałem głośno. Mój głos zabrzmiał ostro w ciszy domu.

Usiadłem na krześle obrotowym. Miałem ciężar na sercu, tak jakbym zetknął się z czymś zbyt wielkim, zbyt trudnym do zrozumienia. Otworzyłem tygodnik. W tym właśnie momencie zobaczyłem rysunek przedstawiający chłopców i łączyły się po mojej twarzy.

Następnego dnia, w środę wieczór, na zebraniu modlitewnym postanowiłem opowiedzieć wiernym o doświadczeniu mojej nocnej modlitwy i dziwnej sugestii, która z niej się zrodziła. Był to lodowaty, pełny śniegu, zimowy wieczór. Niewiele osób przyszło na zebranie. Farmerzy bali się — jak sądzę — że zaskoczy ich śnieżycą. Ponad dwadzieścia osób, które przyszły z o-

późnieniem usiadło w tylnych ławkach. Jest to zawsze zły znak dla kaznodziei, oznacza bowiem, że będzie musiał zwracać się do zgromadzenia „chłodnego”.

Nie starałem się nawet wygłosić kazania tego wieczoru. Podniosłem się, poprosiłem wszystkich, żeby się zbliżyli. „Chcę wam coś pokazać” — powiedziałem. Otworzyłem „Life” i uniosłem w górę tak, by wszyscy mogli zobaczyć rysunek. „Przyjrzyjcie się dobrze twarzom tych chłopców” — poprosiłem.

Następnie opowiedziałem im o moich łzach i konkretnym rozkazie, który otrzymałem, by udać się do Nowego Jorku i spróbować pomóc tym młodym. Moi parafianie patrzyli na mnie z wyrazem osłupienia na twarzach. Nie byli wcale wzruszeni moją historią i doskonale wiedziałem dlaczego. Normalny człowiek instynktownie odczuwał nie sympatię, lecz pełną awersję do tych chłopców. Ja sam nie rozumiałem własnych reakcji.

I oto zaszło coś dziwnego. Poinformowałem zgromadzenie, że pragnę pojechać do Nowego Jorku i że nie mam na ten cel pieniędzy. Mimo, że w kościele było tego wieczoru tak mało ludzi, i że nie rozumieli tego, co chcę zrobić, zbliżali się pojedynczo i składali ofiarę na ołtarzu. Łączna suma wynosiła 75 dolarów — dokładnie tyle, ile potrzebowałem, by udać się do Nowego Jorku i wrócić.

W czwartek rano, o wczesnej godzinie, wsiadłem do mojego starego samochodu z Milesem Hooverem — pastorem zajmującym się młodzieżą w naszym kościele i ruszyliśmy w drogę. Nikt nas nie widział. Był to jeszcze jeden dowód braku entuzjazmu, jaki towarzyszył naszemu przedsięwzięciu. Ja sam czułem podobnie. Nie przestawałem zadawać sobie pytania, z jakiego powodu jadę do Nowego Jorku, mając przy sobie stronę wydartą z „Life’u”. Nie przestawałem zapytywać się, dlaczego twarze tych chłopców tak mnie poruszyły.

— Boję się, Miles — wyjąłem w końcu, gdy mknęliśmy autostradą Pensylwanii.

— Czego się boisz?

— Boję się, że jestem w trakcie pełnienia głupstwa. Chciałbym do końca wiedzieć, czy to rzeczywiście było wezwanie Boga, czy też wybryk mojej wyobraźni.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu.

— Miles?

— Mhu...

Patrzyłem prosto przed siebie: bałem się spojrzeć na mego towarzysza.

— Chciałbym, żebyś próbował coś zrobić dla mnie. Weź Biblię, otwórz ją w którymkolwiek miejscu i przeczytaj mi ten fragment, na który trafi twój palec.

Miles popatrzył na mnie tak, jakby podejrzewał mnie o zabobony, ale zrobił to, o co go prosiłem. Sięgnął na tylne siedzenie po swoją Biblię. Kątem oka widziałem jak zamknął oczy, odwrócił głowę, otworzył Biblię i wskazującym palcem wybrał werset. Przeczytał go po cichu, potem odwrócił się

i popatrzył na mnie nic nie mówiąc.

— A więc? — spytałem.

Był to Psalm 126, werset piąty i szósty:

„Którzy we łzach sieją, żąć będą w radości. Postępują naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na zasiew: z powrotem przychodzą wśród radości, przynosząc swoje snopy”.

Ten tekst dodał mi siłę, gdy jechaliśmy do Nowego Jorku, ale było to ostatecznie pocieszenie, jakie otrzymaliśmy przed upływem długiego, bardzo długiego czasu.

DAVID WILKERSON

Z ŻYCIA EMIGRACJI ♦ Z ŻYCIA EMIGRACJI ♦

KSMP NOEUX LES MINES

Dobra ta nasza młodzież!

13 listopada 1977 r.
uroczystość
św. Stanisława Kostki

Sala była wypełniona po brzegi. Przybyli nie tylko nasi Polacy z Noeux i okolicy, byli również Francuzi, wielu Francuzów. Wpatrzeni w rozświetloną scenę, oklaskiwali młodzież tańczącą w polskich, ludowych strojach. Tak dużo ludzi jeszcze w sali merostwa nie było.

W ubiegłym roku polski spektakl ściągnął wielu, ale teraz sala była wypełniona naprawdę.

Zanim jednak młodzież roztańczyła i rozśpiewała się w popołudniowej zabawie, dziewczęta i chłopcy o godz. 11.00 otoczyli ołtarz w kościele św. Barbary. Przy ołtarzu stanął ks. prał. Z. S. Bernacki, rektor, ks. Piotr Pużyński, pro-

W imieniu miejscowych władz francuskich przemówił p. Joseph Noël,



Młodzież KSMP Noeux-les-Mines w jednej ze scen rodzajowych

foto Roger

boszcz i ks. Kmiecik, młody kapłan pochodzenia polskiego, wikariusz kościoła św. Marcina. Był także ks. kanonik Cautier. Młodzież śpiewała, młodzież modliła się. W oczach naszych zacnych starszerek pojawiły się łzy. Tym razem łzy szczęścia, radości: „Dobra ta nasza młodzież!” Kiedy w kazaniu ks. Rektor mówił o młodzieżowych problemach, młodych ludziach, którzy marnują swoje siły i zdrowie, myśli jawiły się w głowie radośniejsze: „Grupa polskiej młodzieży z Noeux jest inna, oni są zdrowi, oni są szczerze młodzi!” Przygotowali się do tej uroczystości poprzez rekolekcje. Sami poprosili o spowiedź, choć zajęci byli ostatnimi przygotowaniem. W komunii świętej wszyscy zjednoczyli się z Jezusem. Dlatego mieli blask w oczach...

Kilka dni przedtem w prasie polskiej pokazały się komunikaty: Msza święta z okazji uroczystości św. Stanisława Kostki. Festiwal polski pt. „Moik”. Nasze hasło: młodzież polska pracuje, modli się i bawi!

Pokazali, że potrafią się bawić. To był festiwal wspaniały. Ks. Rektor nieustrudzenie powtarzał: „Tego jeszcze nie widziałem, nie nudziłem się ani na moment, a każdy wie, że nieraz nudne są nasze festiwale. Ale ten...!” Sala żyła młodością, pięknem polskiego śpiewu, urokiem kolorowych, roztańczonych par.

W tej radości była i powaga. Prezes polskiego zespołu, E. Robakowski, witając zebranych powiedział, że cała ta wesołość jest dlatego, że dziś święto polskiego patrona młodzieży, św. Stanisława Kostki, że oni tego Stanisława podziwiają, że pragną iść jego śladami... A potem wystąpił chór MILLENIUM, pod dyrekcją pana Papalskiego. Ludzie starsi, ludzie poważni, spracowani górnicy. Śpiewali pieśni religijne.

Potem dopiero spektakl rozwinął się wspaniały... Trwał dwie godziny, w szaleńczym tempie, bez wytchnienia. W końcu pojawił się MOIK, wielki, kolorowy wieniec dożynkowy. Rozpaliła serca zebranych polska piosenka... Ile w tym było trudu! Młodzi ludzie od kilku tygodni biegali po okolicznych fermach zbierali stare grabie, kosy, uprzęż... Zbierali słomę. Któregoś z nich posądzono o kradzież, były nieprzyjemności. Uraowała znajomość na merostwie.



„Moik” króluje na scenie

foto Roger

conseiller général, mer miasta Beuvry. Nie szczędził słów uznania. Dostrzegł w spektaklu polskiej młodzieży szacunek do tradycji narodowych, tradycji ojców. Powtórzył myśl, którą wypowiedział nieraz na polskich uroczystościach: polskie zwyczaje wzbogaciły i ubogacają dalej życie zagłębia górniczego. Staliśmy się przez was bogatsi. Dzisiejsza uroczystość jest tego dowodem.

Cieszył się o. Pużyński i o. Grabiński. Zabiegają o młodzież. Chcą, by była, by gromadziła się wokoło kościoła, probostwa. Jeden bardziej stara się o ich życie religijne, drugi służy pomocą w organizowaniu festiwali. O. Grabiński wyprawił się nawet na trzy dni do Polski, by sprowadzić stroje. Zawsze to taniej! Obaj są niestrudzeni.

A przede wszystkim niestrudzona jest grupa młodych. Jeden z nich po spektaklu zaniemógł na cały tydzień. Wyczerpany! Młodzi dostrzegają wartości pracy społecznej, która niesie zadowolenie, ale też kosztuje wiele. Zadowolenie na pewno. Ileż wniesli radości w serca starszych, w kolonie, gdzie większość zmęczonych mieszka starszerek, schorowanych górników... Polską wniesli nadzieję! Trud, który się opłacił.

To prawda: nasza młodzież jest dobra. Pracuje, modli się, bawi się radośnie.

Wspomnijmy jeszcze obecnych. Orkiestrę „La Lyre Noeuxoise”, prezesa Pawliszko, dyrygenta Maćkowiaka. Wspomnijmy prezesa chóru MILLENIUM, p. Surmana, p. Kulczaka, nauczyciela polskiego, p. Kasprzaka J., prezesa KTM, towarzysztw miejscowych.

Obecni byli wszyscy. Nikogo nie zabrakło. Oby tak zawsze.

GŁOS KATOLICKI
LA VOIX CATHOLIQUE

263-bis, rue St Honoré, 75 001 Paris

Telefon. 260 07 69

Konto pocztowe: PARIS 12 777 08

Dyrektor: Ks. Ed. SZYMFCZKO OMI

Redaktor: Ks. L. BRZEZINA OMI

Administrator: Ks. J. NIERUCHALSKI OMI

N° d'autorisation 36 888

77 260 I.A FERTE sous QUARRE

29, av. du Général Leclerc

Imprimerie des Editions
de Marie Immaculée

Diabeł energią napędzany

Sześć wieków tradycji liczą krakowskie szopki — od pierwszych figurek jasełkowych wystawionych w kościele przez SS. Klaryski w XIV w. po aktualnie organizowane wystawy konkursowe — co roku w grudniu na krakowskim Rynku. Zanikają nam kowale, kołodziejcie, ludwisarze, zaciera się wiele podmiejskich zwyczajów i obrzędów, ale szopkarze trwają, a po latach chudych nastąpił rozkwit tej dziedziny rzemiosła artystycznego, jakiego od dawna nie pamiętamy.

Pierwszym szopkarzem był sam św. Franciszek, który jako wielki miłośnik zwierząt, do jasełkowych postaci wprowadził całą menażerię. W okresie baroku produkcją jasełkowych przedmiotów trudniły się już całe fabryki, ale gdy wyszedł zakaz odgrywania szopek w kościołach, tradycja znów wróciła, nie tyle „pod strzechy”, co do prywatnych salonów bogatych mieszczan. Tym samym zaczęła nabierać cech świeckich. Aby pogodzić problemy kultu i zabawy, wprowadzono do szopek dwa piętra — na najwyższym figurowały postacie święte, a na parterze pokazywano różne frywolności, przy czym nie brakło tam kukieł ludzi znanych, a możnych. Pierwszą tego typu szopkę — dzieło braci Leona i Michała Zanekierów — można do dziś oglądać w Muzeum Etnograficznym Krakowa.

Podobnie jak Zanekierowie, ich następcy byli także murarzami. W dzień stawiali domy dla bogatych mieszczuchów, wieczorami wznosili baśniowe budowle czerpiąc inspiracje z wspaniałych zabytków Krakowa, takich jak Sukiennice, kościół Mariacki, Collegium Maius, Wawel.

Tak przetrwało do okresu międzywojennego, kiedy to z przerażeniem stwierdzono, że na „placu boju” pozostało dosłownie kilka rodzin. Wówczas to z inicjatywą dr. Jerzego Dobrzyckiego ogłoszono pierwszy konkurs na najlepszą szopkę i zespół kolędniczy — a było to w roku 1937. Nagrody fundowały znane firmy, takie jak Hawelka, Wierzynek, Wedel. Wygrywając konkurs można było liczyć na... krążek

kiełbasy i paczkę słodyczy. Ale i to się liczyło. Po dwóch konkursach zorganizowanych przed wojną nastąpiła 5-letnia przerwa, a w 1945 roku krakowskie szopki znów wylądowały na Rynku. W tym roku już po raz trzydziesty trzeci.

Kim są współcześni szopkarze? Starsze pokolenie to jak dawniej murarze i robotnicy pokrewnych branż. Ale pokolenie dwudziestolatków oraz dziesięciolatków — bo są i tacy — ma już niewiele wspólnego z „budowlaniami”. Obok tych, którzy kontynuują tradycje rodzinne, szopkarstwem zajmuje się młodzież z różnych środowisk, o różnych zainteresowaniach zawodowych — inżynierowie i robotnicy, studenci szkół artystycznych i ekonomicznych, młodzież ze szkół średnich. Co roku do konkursu staje obecnie ok. stu szopkarzy reprezentujących wysoki poziom prac i ogromną różnorodność pomysłów.

Wśród modeli można oglądać 3-metrowe kolosy, w których kilkanaście

motorków elektrycznych wprawia w ruch jasełkowe postaci tak, aby każda z nich ożywała w sposób oryginalny i od siebie niezależny. Śpiewają, harczą, śmieć wywija kosą, a diabeł pod kogo należy podsuwa widły. Słowem cud techniki. Są także miniatury — arcydzieła artystyczne mieszczące się w pudełku od zapalek.

To dość oryginalne hobby ogarnęło uzdolnioną młodzież dopiero w ostatnich latach. Widząc, że starzy szopkarze nie znajdują następców, Muzeum Historyczne Krakowa zaczęło organizować cykle spotkań mistrzów starej generacji z młodzieżą szkolną. Opowiadali o swej pracy, demonstrowali, jak to się robi. Potem chętnymi zajęły się kluby młodzieżowe, inni próbowali swych sił samodzielnie. Efekty tych prób okazały się znakomite i w ten sposób tradycje przeszły w ręce nowego pokolenia, a hobby zaczęło się szybko rozszerzać.

Dziś krakowskie szopki słynne są w całym świecie. Zdobią muzea Francji, Włoch, ZSRR, USA, Szwajcarii, Danii i innych krajów. Szopkę, która dwa lata temu zdobyła 1 miejsce w Konkursie, zakupiła ONZ, umieszczając w swej siedzibie w Nowym Jorku.

Szopkarstwo stało się chyba jedną z nielicznych dziedzin rękodzieła artystycznego, w której nastąpił tak wyraźny renesans.

J.A.

